

Prof. zw. dr hab. Daniel Kadłubiec

O kulturowym obliczu podbeskidzkiej ziemi

Tak sformułowany tytuł niniejszego wystąpienia wymaga wstępnych wyjaśnień, dotyczących właśnie określenia „podbeskidzka ziemia”. Otóż, co jest truizmem, oznacza ono przestrzeń pod Beskidami. Problem jednak w tym, że rozciągają się one od morawskiej Beczwy po ukraiński Czeremosz, i na długości 600 km zawierają w sobie niezwykle mozaikę narodów, narodowości, grup etnicznych, etnograficznych, tudzież wielką rozaitość kulturowo-językową. Oczywiście staje się więc, że nie zdołalibyśmy nawet dotknąć tych różnorodnych zagadnień, toteż ograniczymy się, co jest zupełnie logiczne z racji miejsca, w którym się znajdujemy, do krainy okalającej pagórkami i górami nasze miasto, niesłusznie nazwanej Podbeskidziem. Dlaczego? Otóż dlatego, iż nazwa ta nie tłumaczy się ani geograficznie, ani historycznie, ani kulturowo, a powstała na oznaczenie terenów wchodzących w skład byłego województwa bielskiego, rozciągających się zarówno po stronie śląskiej, jak i małopolskiej, a zatem niejednorodnych pod różnymi względami.

Dziś, z powodu możliwości czasowych, zajmiemy się tymi, które rozpościerają się od nieopodal płynącej rzeki Białej w kierunku Cieszyna, a zatem ogarnianymi przez Beskid Śląski, w tej nadziei, że w przyszłości, by mieć ogląd w miarę kompletny, przy podobnej okazji zostanie omówiona część małopolska. Ziemia, będąca przedmiotem naszych rozważań, stanowi część historycznego Księstwa Cieszyńskiego, wyłonionego pod koniec XIII wieku, którego najważniejszymi miastami, oprócz książęcego Cieszyna, jednego z najstarszych w Polsce, był Frysztat, Skoczów i Bielsko. Kiedy w połowie XIV wieku dzielnica śląska, powstała na mocy testamentu Bolesława Krzywoustego, odpadła od Królestwa Polskiego, rzeka Biała stała się na długie wieki granicą między Polską a Śląskiem, będącym odtąd częścią ziem korony czeskiej. Starzy autochtoniczni bielszczanie i mieszkańcy przyległych miejscowości, przekraczając Białą, mawiali: Idziemy do Polski. Tam była Polska, tu był Śląsk. Dowodzi tego, a także innych ciekawych rzeczy, podróż Franciszka Karpińskiego do Niemiec, odbyta w r. 1770. Relacjonuje, iż przejeżdżał przez Białą, ostatnie miasteczko polskie, by znaleźć się w pobliskim śląskim Bielsku (Bielitz też zwanym). „Postrzegłem tu zaraz inny

porządek, wiele domów miejskich murowanych i ochędóstwo wszędzie największe, a my, jak we wszystkim, tak około domów i miast naszych niedbali. Kilkanaście mil w tym kraju śląskim ujechawszy – a kierował się na Cieszyn – spytałem wieśniaka o drogę do Oderburga. Ten mi odpowiedział: Niemcy to nazwali Oderburg, a to miasto zowie się Boguminów po dawnemu (...) A ten mój język pozostały jeszcze między pospólstwem potwierdził mi wielkość dawną naszych Słowianów, którzy tak zmarnieli w czasie teraźniejszym”. Do kolejnej zmiany państwowej przynależności Śląska doszło w r. 1526, kiedy to król Czech i Węgier, Ludwik Jagiellończyk zginął bezpotomnie pod Mohaczem, a władanie nad jego ziemiami przejęli Habsburgowie, zawiadujący również Śląskiem Cieszyńskim z Bielskiem włącznie przez około 4 wieki, bo do końca I wojny światowej. Rzecz oczywista, że te zmiany przynależności państwowej musiały mieć swoje reperkusje kulturowe, widoczne w stylu życia, wyznawanych wartościach, stosunkach społecznych i językowo- etnicznych. Przykładem tych ostatnich może być Bielsko, nazywane w swoim czasie małym Berlinem dla silnego żywiołu niemieckiego, dominującego tu zdecydowanie do końca I wojny światowej, osłabionego, ale dalej mocnego i w okresie międzywojennym. Ta enklawa niemiecka rozwijała nie tylko ciekawe formy życia artystyczno-społecznego, ale także naukowego, że przypomnimy tylko wrywkowo nazwiska niemieckich bielszczan – Fryderyka Bocka, Ericha Ruttina, Ottona Sachsa, Edwarda Schoedera, Maurycego Bloomfielda, Rudolfa Beera - słynnych w Europie. Kwestie te są na ogół słabo znane, podobnie jak specyfika tzw. niemieckiej wyspy językowej, tworzonej przez miejscową inteligencję, mieszczaństwo, przemysłowców. Niższe warstwy porozumiewały się staropolską gwara, rozbrzmiewającą na peryferiach Bielska wraz z całą ziemią pod Beskidami nieprzerwanie do czasów po II wojnie światowej, kiedy to doszło do wymieszania ludności, szczególnie w Bielsku, i kiedy to w szkołach zaczęto tępić język ludowy jako przejaw zacofania i przysłowiowej słomy wyłóżącej z butów, nie wiedząc o tym, że język narodowy bez gwar traci życiodajne źródło. Odnosi się to również do relacji między kulturą ludową a narodową. *Dodać do tego należy rzecz chyba najważniejszą – że temu językowi i tej kulturze Śląsk, i ten pod Beskidami, zawdzięcza narodowe przetrwanie.*

Region, o którym mowa, jest również znamiennym pograniczem śląsko- małopolskim, śląsko- małopolsko- słowackim (w przeszłości węgierskim), śląsko-

morawskim, w historii i śląsko-niemieckim, i, jak każde pogranicze, daje szansę wyboru, dialogu, zrozumienia, usuwając uprzedzenia i fobie, odznacza się również wzmoczoną aktywnością, tudzież i bogactwem, gdyż ścierają się tu, dotykają i nawarstwiają wpływy i zapożyczenia, transformowane przez tutejszy system językowo-kulturowy, co powoduje, że i nasze pogranicze nacechowane jest specyfiką wyrastającą z wielowiekowego sąsiedztwa z innymi, z jego uwarunkowań historyczno-geograficzno-kulturowych, które wycisnęły swoje piętno na tym, co zapożyczyliśmy od bliższych czy dalszych sąsiadów, a także z siły twórczej tryskającej z tej ziemi. Wpływy, impulsy, inspiracje przychodziły tu najróżniejszymi drogami, króre od starożytności przecinały ziemię śląską, po części i małopolską ze wszystkich stron świata. Wartości cywilizacyjne docierały tu szlakami bursztynowym, miedzianym, solnym, kijowskom, i to przez Bramę Morawską, Przełęcz Jabłonkowską i Koniakowską, którędy szły nie tylko wojska, towary i wołoskie ludy pasterskie, ale i wyższe formy życia duchowego. Dodać do tego trzeba drogi pielgrzymkowe, zmierzające nie tylko do Częstochowy, Kalwarii Zebrzydowskiej, Piekar i Pszowa, ale i do Frydka nad granicą morawską czy Świętej Góry pod samym Ołomuńcem, dokąd już od początku XVIII wieku wędrowali i Ślązacy i Żywczanie. Że miało to znaczenie również kulturowe, jest oczywistością. Chodziło zatem o szczególne skrzyżowanie cywilizacyjne, dotykające wszystkiego, co od XIII wieku było w Europie najbardziej postępowe, stąd łacińskie powiedzenie *Lux ex Silesia* ma wymowę jak najbardziej realną. Dość przytoczyć, powołując się na badania znakomitego historyka, Henryka Barycza, że na 24 studentów z Polski, pobierających naukę w uniwersytecie bolońskim w latach 1265 – 1294, ze Śląska było ich aż 11, a kiedy król czeski i cesarz rzymski, Karol IV, wzbogacił Pragę o najstarszy uniwersytet środkowoeuropejski, udało się tam natychmiast około 360 młodych Ślązaków, w tym i podbeskidzkich, jeżeli można ich tak określić. Jeszcze liczniejsza grupa zapragnęła studiować w Akademii Krakowskiej po jej odnowieniu, w której to na początku XVI wieku zdobywało wiedzę 105 mieszkańców Księstwa Cieszyńskiego. Bielszczanie zaś często zdobywali dyplomy w Wiedniu, Lipsku czy Wittemberdze. Mówimy o tym dlatego, by pokazać ważną cechę śląskiej ziemi podbeskidzkiej, unaoczniającej się w warstwie duchowej. Do niej należą i kwestie religijności, znamienne dla tej ziemi, jej poczucia wartości, kultury współżycia, tolerancji wreszcie. Chodzi o reformację, która

dotarła tu w 1. połowie XVI wieku z językiem narodowym, inspirowanym wcześniej przez husytyzm, wypolerowanym w Biblii Radziwiłłowskiej, później Gdańskiej, w przeróżnych zbiorach kazań, ale i w twórczości mocarzy polskiego słowa, w Apokalipsie i Postylli M. Reja, Psalterzu Dawidowym, pieśniach i innych skarbach twórczości Jana z Czarnolasu. Na jedną z jego pieśni wypada bacznie spojrzeć, a właściwie na jej lokalną przeróbkę, bowiem bardzo wymownie uwydatnia ona rangę słowa na tutejszej ziemi. Otóż chodzi o utwór zatytułowany „Nie wierz fortunie, co siedzisz wysoko”, apotezującym cnotę, dla Polski szlacheckiej, a Kochanowski także do niej należał, bardzo symboliczną. Cnotę zastąpiono tu jednak nauką i zaczęto śpiewać również w kościołach, bowiem pieśń ta weszła do śpiewników religijnych, o tym, że *nauka klejnot, nauka skarb drogi, tego nie wydrze nieprzyjaciel srogo, nie spali ogień, nie zabierze woda, nad wszystkim innym panuje przygoda.*

Środowisko protestanckie, mające w Bielsku charakter niemiecki, w Cieszyna i po wsiach bardzo polski, współżyjąc z większością rzymskokatolicką, współuczestniczyło w kształtowaniu kultury tolerancji w myśl powiedzenia, że zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Nie wszczynano tu wojen, nie było napaści, inspirowanych ludnością autochtoniczną. Wojna 30-letnia i jej następstwa przyszły z zewnątrz. Były natomiast wysiłki, by przy każdym zborze instniała szkoła, na której drzwiach umieszczano mądre słowa z listu apostoła Pawła: Duchem postępujcie, a nieco później w Cieszynie oświecony jezuita, twórca tutejszego muzeum i księżnicy, unikatowych w skali europejskiej, Leopold Szersznik, postanowił wyryć nad nimi napis w języku greckim: Lecznica dusz. Duchem postępowali i słowem leczyli dusze chłopscy samorodni piśmiarze, a zatem poeci, pamiętnikarze, począwszy od XVII-wiecznego Jakuba Galacza, a skończywszy na współczesnych, szczególnie zaolziańskich poetach, również podbeskidzkich, ale z drugiej strony granicy, wielbiących piękno tej ziemi, która wg legendy powstała z uśmiechu Boga. Jak z powyższego wynika, nosicielami ciągłości kulturowo-cywilizacyjnej, manifestującej się przywiązaniem do języka Reja i Kochanowskiego, czego konsekwencją były nieraz bogate zbiory biblioteczne, kryjące się pod wiejskimi strzechami, dbałość o szkoły i oświatę, o słowo, byli **plebejusze**, szczególnie chłopci. Na ziemiach śląskich po graniczną rzekę Białą szlachty polskiej i wyższych wartsw polskich nie było, toteż chłopci byli i nauczycielami, i badaczami, i pisarzami, i politykami, oni zapewniali

dziedziczenie narodowego stanu posiadania, czego liczne przykłady mamy szczególnie od początku wieku XIX. Polskość więc – jak napisał trafnie Zbigniew Zielonka – nie była tu, jak na Litwie, koroną kwiatu, ale miała zapach ziemi i tych, którzy na niej ciężko pracowali, gdyż taka praca była tu modlitwą i wyrazem głębokiej religijności, bowiem – powołując się na XVII-wieczną literaturę kaznodziejską – tak jako ptaszek rodzi się do latania, tak człowiek do pracowania. Modlono się więc nie o dostatek, dobrobyt, nawet nie o zdrowie, tylko o to, by człowiek mógł pracować. Nie było tu pogardy dla pracy fizycznej, nie podziwiano cwaniaków i kombinatorów, ale, jak napisał jeden z największych socjologów nie tylko polskich, Jan Szczepański, rodem z podbeskidzkiego Ustronia: Robotą określała miejsce człowieka, a przede wszystkim rodziny w społeczności lokalnej. Zamożnym mógł być tylko człowiek robotny i jego też powoływano do przewodzenia innym. Uzupełnia ten obraz poeta i nauczyciel z Gnojnika, spod góry Goduli, na której przez całe dziesięciolecia czytano staropolskie Biblie pod osłoną beskidzkich lasów, pisząc, a chodzi o 2. połowę XIX wieku, że nie było różnicy między sługą a gospodarzem, toteż sługa nie czuł się sługą, ale członkiem rodziny. Przyszedł na służbę, to przyszedł do taty i mamy. Parobek mówił: Nasze pole i moje konie, a służąca: Moje krowy. Toteż gospodarz mógł na swoim słudze polegać, więc spokojnie posyłał go z końmi i wozem po towary i z towarami do Triestu, do Czerniowiec, do Lwowa, a pacholek po trzech miesiącach wrócił ze zdrowymi końmi i całym wozem, a przede wszystkim ze sporą sumką pieniędzy. Relacja ta brzmi dzisiaj jak bajka, a podobne czytamy u Andrzeja Cinciły i innych XVIII- i XIX-wiecznych pamiętnikarzy. Jest ona znamieną dla ówczesnych stosunków społecznych, nigdy nienacechowanych dumą z urodzenia, ale dumą z tego, co się samemu wytworzyło. Norwid powiedziałby zapewne, że był tu nie tylko wielki naród, ale i wielkie społeczeństwo. Mimowolnie też zadajemy sobie pytanie, jak ci przewoźnicy radzili sobie w tym dalekim świecie, jak się porozumiewali. Częściowe wyjaśnienie daje nam twórca dialektologii polskiej, krakowski profesor, Lucjan Malinowski, zapisujący w r. 1869 gwary również w Beskidzie Śląskim. Zauważył, iż z odwiedzanych przez siebie wsi co najmniej 10 chłopskich synów uczęszczało do gimnazjum cieszyńskiego, a kiedy był w Jabłonkowie, stołecznym miasteczku beskidzkim, wpadł w zdumienie, bowiem jego mieszkańcy w zależności od przybywających tu gości targowych rozmawiali

z nimi po polsku, słowacku i niemiecku. Monarchia Habsburska, państwo wielonarodowe, wielojęzyczne i wieloetniczne sprzyjało otwartości i antyksenofobii.

Nowoczesne myślenie polegało tu na tym, że słowo stanowiło tu, co ponownie podkreślamy, wartość szczególną, stąd dla gromadzenia ksiązek tworzono spółki, w spadku ofiarowano je dzieciom, wyprawiano się po nie pieszo do Krakowa, słowo też stanowiło istotę kultury muzycznej i teatralnej, rozwijanej po Wiośnie Ludów. Nie dziwota, że w centrum uwagi miejscowych chłopskich polityków, będących posłami do sejmu krajowego w Opawie czy austriackiego w Wiedniu, znajdowały się szkoły, bronione zawzięcie, co skłania nas do refleksji, iż sprawy narodowe były tu ważniejsze od socjalnych. Kiedy sypano Kopiec Kościuszki w Krakowie, chłopci podbeskidzcy zawieźli tam symboliczną grudkę ziemi na znak łączności dzielnic piastowskiej z jagiellońską. Wymowę ma to jednoznaczna. Ta siła tkwiąca w tych, którzy na podbeskidzkiej ziemi się rodzili, żyli, umierali, kamieniste pola zamieniali na uprawne, a pracę i ziemię sławili w słowie mówionym, rymowanym i śpiewanym, spowodowała, że ponad sześciu burzliwymi wiekami doniesiono do czasów zrodzenia się państwowości polskiej narodowy stan posiadania. Zasilany był przez niezwykle w skali europejskiej bogactwo anonimowej twórczości pieśniowej, opowiadaniowej, obrzędowo-zwyczajowej, niesionej językiem ludowym, także przez setki tytułów książeczek wydawanych przez Feitzingera, po dziś przechowywanych w księgozbiorach wiejskich, przez setki tytułów kalendarzy, drukowanych także w Wadowicach u Foltyna, w Mikołowie u Miarki czy w bardzo odległym Wimperku u Steinbrennera, oczywiście po polsku, tyle samo gazet od Tygodnika Cieszyńskiego począwszy. To wszystko znajdowało tu chłonnych czytelników i stało się fundamentem nowoczesności, co zauważyła wielka polska pisarka, Maria Dąbrowska, która przebywając w pobliskim Jaworzu na początku lat 30. ubiegłego wieku zauważyła: Lud, który tu żyje i pracuje, jest po europejsku oświecony i cywilizowany, a jednocześnie staropolski. Pewnie i dlatego, że, jak zanotował Stanisław Staszic w czasie wędrówki po tutejszej krainie: Szkółki we wszystkich wsiach bardzo zadbane. Pisał się wtedy rok 1790.

Moglibyśmy dalej ciągnąć tę narrację, zahaczając o okres międzywojenny, powojenny, tudzież o niespotykaną aktywność kulturalno-oświatową związków, instytucji, organizacji z jednej i drugiej strony granicznych Beskidów, której

istotą, szczególnie na zaolziańskiej stronie, a zatem za Olzą, było zachowanie tożsamości regionalnej i narodowej, nigdy tu nie rozdzielanej, bowiem droga do wspólnej kultury ogólnoludzkiej, do postępu, zawsze prowadzi od własnego domu, od własnych korzeni, które są Anteuszową siłą nie tylko człowieka, ale i całych społeczeństw, stanowiąc również o ich indywidualnej wartości. Przebogata lokalna tradycja kulturowa, z takim pietyzmem pielęgnowana i przekazywana, nigdy nie była tu synonimem zaściankowości, izolowania się, ale warunkiem postępu, otwierania się na świat. Pamiętano tu zawsze o perspektywie wyznaczonej przez Pawła Stalmacha na Zjeździe Słowiańskim w Pradze w r. 1848: Pamiętać musimy, że wśród Słowian jesteśmy Polakami, a wśród Polaków Ślązakami. Mówiąc o tych zależnościach, dziś szczególnie aktualnych, przywołajmy jeszcze znakomitego pisarza czeskiego, Karola Čapka, którego zapytano, co należy robić, by literatura czeska była bardziej światowa. Odpowiedź była prosta i w swej prostocie mądra: Im bardziej literatura czeska będzie czeska, tym bardziej będzie światowa. Wzbogaci bowiem świat przez swoją indywidualną twarz. Droga do nowoczesności nie prowadzi bowiem przez wyzbywanie się tożsamości, ale przez jej ugruntowanie. Mając to na pamięci, a także słowa Stanisława Jachowicza – cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie – staraliśmy się, z konieczności fragmentarycznie, przedstawić wartość podbeskidzkiej ziemi na zachód od Białej, czyli śląskiej, w nadziei, że może stać się impulsem dociekań naukowych naszej uczelni na skalę międzynarodową, że uświadomi autochtonom i tym, którzy tu przybyli, wspólne wartości, będące naszym dziedzictwem, które formowały zawile losy dziejowe, przestrzeń pogranicza, determinacja ludności, by – parafrazując słowa prof. Bogdana Suchodolskiego – wyjść z kamiennych grobowców i wzbić się ku gwiazdzistemu niebu.

Czasy się zmieniły, ludzie też, ale wiele z tego dziedzictwa pozostało. Także sama świadomość, że tak było, jest wielką wartością, którą należy spożytkować we współczesnej edukacji, tak często szermującej otwartością, humanizmem, tolerancją i innymi atrybutami. To wszystko już tutaj dawno było.